

W oblężonym Katmandu

1 września 2004

Stało się. Fakt zaczął wspinaczkę na szczyt. Nie byle jaki, bo jeden z najwyższych i najpiękniejszych. Cho Oyu, czyli Turkusowa Bogini, ma 8201 metrów, co czyni ją szóstą górą świata. Fakt stanie na jej szczycie tuż przed swoimi pierwszymi urodzinami, w połowie października. O ile, oczywiście, Bogini będzie mu przychylna.

I o ile sparaliżowane godziną policyjną Katmandu wypuści nas ze swoich objęć. W tym roku mija dokładnie 50 lat, kiedy po raz pierwszy Turkusowa Bogini pozwoliła się zdobyć. Z tej okazji u jej podnóża spotkały się 32 ekipy z całego świata. Wśród nich nasza, jedyna z Polski.

- Marzyliśmy o tym od dawna - mówi Bogusław Magrel (29 l.), lider wyprawy i prezes Polskiego Klubu Alpejskiego z Tychów. I teraz zrobimy wszystko, żeby się udało.

Sęk w tym, że sama przychylność Bogini to za mało, by odnieść sukces. Przekonaliśmy się o tym bardzo szybko. Już trzeciego dnia pobytu w stolicy Nepalu - Katmandu.

Do Katmandu dotarliśmy 29 sierpnia. Zgodnie z planem, do czwartku (2 września) mieliśmy uzupełnić wyposażenie i ruszyć jeepami do Tybetu. W środę, kiedy kończyliśmy pakowanie, w Katmandu zawrzało. Kilka godzin wcześniej świat obiegła wieść o tym, że w Iraku bestialsko zamordowano kilkunastu Nepalczyków.

Setki rozwścieczonych mieszkańców Katmandu wyległo na ulice. Z kijami w rękach maszerowali w poszukiwaniu muzułmanów, by zemścić się na nich za śmierć swoich rodaków. Na ulicach zapłonęły stosy śmieci, doszło do starć z policją. W środę o godzinie 14 władze wprowadziły w Katmandu godzinę policyjną. Miasto zamarło.

Tam, gdzie do późnych godzin nocnych tętniło życie - cisza. Pozamykane sklepy, restauracje, bary i kafejki. Po przeraźliwie opustoszałych ulicach przechadzają się wyłącznie uzbrojone patrole wojskowe. Z telewizora zniknęły wszystkie zagraniczne stacje. Wiadomości podaje tylko jedna, nepalska stacja.

Na bramie przed naszym hotelem kierownik powiesił ogromną kłódkę. Nie możemy ruszyć się na krok.

- Nie wolno iść, bo żołnierz będzie strzelać - mówi łamaną angielszczyzną. Najgorsze jest to, że nikt nie wie, kiedy skończy się domowy areszt.

Godzinę policyjną wprowadzono, ale kiedy zostanie odwołana - nie wiadomo.

Można tylko czekać. Więc ludzie wpatrują się w telewizory, bo tylko stąd mogą się dowiedzieć o odwołaniu godziny policyjnej i czekają. My też nie odrywamy od ekranu wzroku. Wciąż nie wiemy, czy uda nam się ruszyć zgodnie z planem. Póki co bezustannie rozmawiamy o Cho Oyu.

Magrel, Kobielski, Ogrodnik, Adamski i Jarzemski nie idą w góry po raz pierwszy. Wspinają się od lat, każdy z nich był na siedmiotysięczniku albo o włos od siedmiu tysięcy. Jedynym wyjątkiem w ekipie jestem ja. Ze swoimi wędrownkami po Tatrach, czuję się jak uczeń wśród profesorów. Tym bardziej, że Boguś Ogrodnik, który w ekipie uchodzi za znawcę

tematu medycznego, nie pozostawia mi żadnych złudzeń, że czekają mnie poważne kłopoty.

- Powyżej 4 tysięcy metrów wyjdzie ci z organizmu wszystko, co w nim siedzi - tłumaczy mi przy każdej okazji, czyli kilka razy dziennie. - Jak cię na dole trochę ząb boli, na górze będziesz wył z bólu. Jak tu cię głowa poboлева, tam ci łeb odpadnie. A najgorsze jest to, że wysoko w górach organizm nie regeneruje się. Jak ci popęka skóra na palcach, rany zagoją się dopiero, jak zejdziesz na dół.

Próbuję nadrabiać miną, ale nie wiem na ile mi się to udaje. Na szczęście nikt nie ma czasu, żeby mi się bacznie przyglądać. Właśnie pojawiły się kolejne kłopoty. Nasz przewodnik doniósł, że jedyna droga do granicy chińskiej jest nieprzejezdna. Po ostatniej ulewie zatarasowały ją zwały błota. Nawet jeśli uda nam się jutro wyjechać, nie obejdzie się bez kilkugodzinnej, pieszej przeprawy.

- Jedynym pocieszeniem jest fakt, że co źle się zaczyna, zwykle dobrze się kończy - nie traci optymizmu Boguś Margel. Zobaczymy. Oby tak było.

W drodze do strefy śmierci

15 września 2004

Po 15 dniach od wylotu z Warszawy dotarliśmy do stóp Turkusowej Bogini. Do zdobycia szczytu zostało 2 i pół kilometra, niestety, w pionie. Żeby znaleźć się tu, gdzie jesteśmy, przebyliśmy tysiące kilometrów. Ostatnie były trudne i męczące. Każdy kilometr zbliżał nas do bazy, która leży na wysokości 5700 metrów, przez wielu fachowców uznawanej za tzw. pierwszą strefę śmierci. Strefę, w której wszelkie życie ma wyraźnie pod górkę.

Do pierwszego poważnego starcia z wysokością doszło w Nyalam. Do tej leżącej na 3700 metrów wsi dotarliśmy zdezelowanym autobusem, 2 dni po opuszczeniu Katmandu. W ciągu drugiego dnia pokonaliśmy w pionie 2 kilometry.

- Poczujesz co to wysokość - obiecywał mi w drodze do Nyalam Tomek Kobielski.

Nie wierzyłem, bo do samego końca czułem się świetnie. Wystarczyło jednak wejść z plecakiem na pierwsze piętro hotelu. Przez 5 minut próbowałem uspokoić serce i złapać oddech. Podczas kolacji dostałem zadyszki, bo za szybko jadłem. Wysokość dała mi w kość również w nocy - kilka razy budziłem się z uczuciem, że już po mnie. Brakowało mi tchu, rano z niedotlenienia bolała mnie głowa.

I jeszcze jedno: z usług lokalnych piękności, które oferowały swoje wdzięki za pięćdziesiąt juanów (6 i pół dolara), skorzystali tej nocy wyłącznie tubylcy, kierowcy ciężarówek. A tyle było szumnych zapowiedzi przy kolacji.

Zdecydowanie 1: 0 dla wysokości.

Po Nyalam już tylko Tingri - malutka, ostatnia na drodze do Cho Oyu, leżąca na wysokości 4300 metrów miejscowość. To ostatnia, bo wyżej już

żyć na stałe jest praktycznie niemożliwe. - Może jest jedna, dwie miejscowości na świecie położone wyżej, ale prawdą jest, że dla niektórych już 4000 tysiące metrów może być wysokością zabójczą - mówi Bogusław Magrel.

W Tingri po raz ostatni spaliśmy w łóżkach, po raz ostatni wzięliśmy prysznic, i po raz ostatni zaatakowały nas pchły. Pod Cho Oyu pchły już się nie zapuszczają.

Ostatni odcinek drogi do bazy głównej pokonaliśmy pieszo. Na szczęście, większość bagażu wzięły na siebie jaki. Gdyby nie to, że po drodze Szerpowie ukradli nam dwa z nich, a wraz z jakami zniknęło 30 kilogramów ryżu, zapasy cukru i owoców, można by powiedzieć, że podróż przebiegała spokojnie. W dwa dni, krok po kroku, pokonaliśmy kolejny kilometr wysokości. Fakt dotarł na wysokość 5700 metrów, do bazy głównej.

Do strefy śmierci.

Atak tybetańskiego pasożyta

21 września 2004

Minął tydzień w bazie głównej. Już wiem, dlaczego powyżej 5000 metrów nikt nie buduje sobie domów. Na tej wysokości nie da się żyć długo i szczęśliwie.

- Nie ma się co dziwić - tłumaczy Bogusław Ogrodnik, jednoznacznie okrzyknięty przez nas wyprawowym lekarzem. - Ciśnienie w Warszawie jest teraz w granicach 1000 milibarów. A u nas? Podciąga rękaw i spogląda na swój zegarek: - 504, o połowę mniej.

Oddychanie tak rozrzedzonym powietrzem to koszmar dla organizmu.

Gdyby nas przetransportowali tu samolotem bezpośrednio z Warszawy, zaraz po wyjściu stracilibyśmy przytomność. Żyjemy, bo przez 2 tygodnie przyzwyczajaliśmy organizm do coraz rzadszego powietrza. Ale powolna klimatyzacja nie załatwia wszystkiego.

Kiedy z plecakami na ramionach dotarliśmy do bazy, mieliśmy przed sobą tylko jedno zadanie: rozstawić przed nocą namioty. Ostatnie pięć śledzi wbijałem ponad godzinę. Po każdym dwóch-trzech uderzeniach kamieniem, minuta-dwie odpoczynku. Wieczorem padłem jak kłoda. Ranek niczego nie zmienił. Każdy ruch sprawiał, że serce waliło jak oszalałe.

Razem z nami od Katmandu podróżuje 10-osobowa grupa Norwegów, Szwedów, Francuzów i Australijczyków. Jeden z Norwegów, po dwóch dniach w bazie, został zniesiony przez Szerpów 1000 metrów niżej. Przez dwa dni nie jadł, nie pił i nie spał. Jedynym ratunkiem dla niego okazała się ucieczka w dół.

- Im wyżej, tym organizm bardziej wariuje - tłumaczy spokojnie Ogrodnik.

- Tu, gdzie jesteśmy włosy i paznokcie rosną dużo wolniej, rany goją się bardzo powoli albo wcale. Czasami organizm nie potrafi zwalczyć najprostszej choroby.

Bogusław Magrel, kierownik naszej wyprawy, przekonał się o tym na własnej skórze. Bierze już trzecią serię antybiotyków, i wciąż nie może pozbyć się gorączki. Zaczął nawet podejrzewać, że padł ofiarą jakiejś wyjątkowo złośliwej tybetańskiej bakterii.

- Dawno nie czułem się tak fatalnie - mówi Bogusław.

Gorączka, rozwolnienie, wymioty. Te wszystkie objawy ma też Olaf. Obaj zrzucają winę na tybetańską kuchnię, i odmówili przyjmowania posiłków. Żywią się sami, tym, co przywieźli z Polski. Podejrzewają zatrucie pokarmowe. Lekarz, którego udało nam się znaleźć w bazie, podejrzewa, że padli ofiarą tybetańskiego pasożyta.

- Dał nam jakieś tybetańskie tabletki, i powiedział, że jeśli się nie myli, do trzech dni będziemy w pełni sił. Oby się nie mylił - mówi Bogusław Magrel.

Podczas gdy Olaf z Bogusławem próbują dojść do siebie, Fakt z Januszem, Tomkiem i Bogusławem Ogrodnikiem prze do góry. Dotarł już na wysokość 6400 metrów, i założył na Cho Oyu I obóz. Do szczytu zostało 1800 metrów.

W królestwie śniegu i kruków

24 września 2004

Sukces! Fakt na barkach Tomasza Kobielskiego i Janusza Adamskiego dotarł na szczyt. W piątek. W samo południe.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jeszcze we wtorek Janusz z Tomkiem witali pozostałą część ekipy w założonym na wysokości 6440 metrów obozie nr I.

W obozie, do którego prowadzi ciężka droga przez lodowiec i 400-metrową ścianę.

Tu zaczyna się królestwo wiecznego śniegu. Dotarłem tam z dopiero co wyleczonym Bogusławem Magrelem, kierownikiem naszej wyprawy, i Olafem Jarzemskim.

W czasie 24 godzin Janusz z Tomkiem zdążyli jeszcze nauczyć mnie kilku rzeczy.

Po pierwsze: nie wstawać zbyt gwałtownie. Zawroty głowy murowane, bo serce nie nadąza tłoczyć krwi do mózgu. Przynajmniej przez pierwsze dni aklimatyzacji.

Po drugie: śnieg na herbatę brać z trudno dostępnych miejsc.

- Inaczej, chociaż zaoszczędzisz trochę sił, znajdziesz w menażce kawałki chusteczek higienicznych lub papieru toaletowego - mówili. Na własnej skórze przekonałem się, że przed nami było tu sporo ludzi. I że robili tu różne rzeczy. I po trzecie: nauczyłem się nie ufać krukowi.

Do tej pory myślałem, że najwyżej latają andyjskie kondory. Tybetańskie kruki biją je na głowę. Bywają nawet w II obozie, na 7100 metrach.

- Jeśli nie schowasz dobrze jedzenia, już po nim - przestrzegali mnie wszyscy z ekipy. Właśnie po to kruki latają tak wysoko. Potrafią wyczuć

żywność z daleka, potężnymi pazurami i dziobami rozedrzyć namiot, i się do niego dostać. Yeti może być sobie królem Himalajów, ale to kruków trzeba się bać bardziej.

6400 metrów to prawdopodobnie kres mojej wspinaczki. Flagę Faktu przekazuję więc Tomkowi i Januszowi, pierwszej grupie uderzeniowej, która zaatakuje szczyt.

Ruszamy jednocześnie: oni w górę, ja w dół. Ledwie dochodzę do lodowca, pogoda załamuje się, zaczyna sypać śnieg. W zadymce trudno znaleźć drogę, ścieżka raz po raz ginie między kamieniami. Wprawdzie drogę wytyczają ułożone z kamieni kopczyki, ale przy takiej pogodzie trudno je dostrzec.

Kilka razy znajduję je z najwyższym trudem. W dodatku moje rękawice przemokły i co kilkanaście minut muszę rozcierać sobie palce, by ich nie odmrozić.

Do bazy docieram godzinę przed zachodem słońca. W tym samym czasie Janusz z Tomkiem są już w II obozie, i myślą o założeniu trzeciego, ostatniego (7450 metrów), i planują ostateczny atak na szczyt. Do przejścia zostanie im niespełna 800 metrów.

W piątek dostaję wiadomość: Janusz Adamski i Tomasz Kobielski zdobyli Cho Oyu! Zrobili to we wspaniałym stylu. Szybko i zdecydowanie.

Razem z Faktem

28 września 2004

Obudzili się przed drugą w nocy. Ubierać się nie musieli, bo przed wejściem do śpiworów przezornie nie zdjęli puchowych kombinezonów. Przez ponad dwie godziny topili w menażce śnieg i gotowali wodę na herbatę. Z pełnymi termosami, kwadrans po czwartej rano wyszli z namiotów. Ruszyli w stronę szczytu. Było ciemno i zimno, - 18 stopni Celsjusza.

- To był najtrudniejszy etap zdobywania góry - przyznaje Tomek Kobielski, który razem z Januszem Adamskim zdobył kilka dni temu szóstą górę świata Cho Oyu - Turkusową Boginię. Razem z Faktem.

Dzień przed atakiem na szczyt Tomek wziął ostatnią dawkę antybiotyku. Bał się, że osłabiony lekami tej ostatniej próbie nie da rady.

- Bałem się też magicznej granicy 8000 metrów, nigdy nie wspinałem się tak wysoko - przyznaje Tomek.

Postanowił iść własnym tempem. Opłaciło się. Chociaż dotarł na szczyt ponad godzinę po Januszu, dotarł tam w świetnej formie. - Kiedy przekroczyłem 8 tysięcy metrów, wiedziałem, że góra jest moja - uśmiecha się.

Ani przez chwilę nie zwątpił w sukces Janusz, chociaż wybrał inną taktykę.

- Przyjąłem wariant agresywny, uznałem, że muszę iść dynamicznie. Im szybciej będę na górze, tym lepiej - tłumaczy. - Po południu często załamuje się pogoda. Kiedy startował kwadrans po 4, w ciemności przed sobą widział latarki innych śmiałków. Mijał ich jednego po drugim.

- Przez cały czas czułem się dobrze - mówi Janusz - jedyne czego się obawiałem, to silnego wiatru na wierzchołku. Ale Bogini była dla nas łaskawa. Ze szczytu szóstej góry świata widać dużo, między innymi najwyższą górę świata - Mount Everest.

- Kiedy ją zobaczyłem, postanowiłem, że kiedyś stanę na jej szczycie - zapowiedział Janusz. Tomek też myśli o Evereście, chociaż nie ukrywa, że interesują go też niższe, ale trudniejsze technicznie góry. Ale jeśli Everest, to z Faktem.

Od niedzieli zdobywcy Cho Oyu odpoczywają w bazie. Do ataku ruszyła druga grupa uderzeniowa: Olaf Jarzemski, Bogusław Ogrodnik i Bogusław Magrel, kierownik wyprawy. Zaatakują szczyt w ciągu najbliższych dwóch-trzech dni. Fakt jest również z nimi.

Zdążyli przed huraganem

30 września 2004

Godzina 8 rano. Przeciągły huk wyciąga wszystkich z namiotów. Ze zbocza po drugiej stronie lodowca, zaledwie kilkaset metrów od nas schodzi potężna lawina. Godzinę wcześniej szła tędy karawana tybetańskich przemytników. Umknęli w ostatniej chwili.

Obok naszej bazy wiedzie jeden z najpiękniejszych szlaków przemytniczych świata. Z Tybetu do Nepalu, wzdłuż lodowca, między ośnieżonymi szczytami Himalajów. Z malowniczą przełęczą przemytników. Jest na co popatrzeć.

Lawiny nie robią na tybetańskich przemytnikach wrażenia. Ich karawany regularnie kursują między Lhasą (stolicą Tybetu) a Namche Bazaar. Kupione w Lhasie dywany, buty, kurtki, radia, telewizory i odtwarzacze DVD przemytnicy wiozą ciężarówkami do Tingri - ostatniej najwyżej położonej tybetańskiej miejscowości na szlaku do Nepalu. Dalej towar niosą jaki. W Namche Bazaar przemytnicy dostaną za niego podwójną cenę.

Po drodze zaglądają do bazy. Wiedzą, że mogą tu sprzedać parę rzeczy, bo w bazie himalaiści chętnie sięgają do portfela. Tu mogą pozwolić sobie na odrobinę luksusu. Chociaż to trochę inny luksus.

W bazie nie trzeba topić śniegu na herbatę, bo wrzątek stoi w termosach. Nie trzeba napychać żołądków marnym żarciem z torebek, bo o śniadanie, obiad i kolację dba kucharz. W bazie można się wyspać, bo temperatura w nocy spada tylko do - 5 stopni, a nie jak kilometr wyżej do -15. Można wreszcie się wykapać, chyba że polewania się wodą z kubka nie można uznać za kąpiel.

Razem z Januszem Adamskim i Tomkiem Kobielskim od kilku dni korzystamy z uroków bazy. Reszta ekipy - Olaf Jarzemski, Bogusław Ogrodnik i Bogusław Magrel - atakuje szczyt. Wiemy, że muszą go zdobyć szybko, bo prognozy pogody nie są sprzyjające. Według meteorologów zbliża się śnieżyca, a wiatr lada dzień osiągnie prędkość huraganu.

I kiedy piszę te słowa, żeby wysłać tekst do redakcji - jest czwartek przed

południem - z góry przychodzi wiadomość: Olaf Jarzemski, Bogusław Ogrodnik i Bogusław Magrel stanęli na szczycie Cho Oyu! Wygląda na to, że polska ekipa jest jedyną, która w całym składzie zdobyła wierzchołek szóstej góry świata. Jedyną spośród 32 ekspedycji, jakie spotkały się u stóp Turkusowej Bogini z okazji 50. rocznicy jej pierwszego zdobycia.

Jedyna taka ekipa *3 października 2004*

Lepiej być nie mogło. Na szczycie Turkusowej Bogini, szóstej góry świata stanęła cała ekipa, z którą wspinał się Fakt. 5 osób. Co więcej, jedna z nich, Olaf Jarzemski, nie tylko weszła na szczyt, ale zjechała z niego na desce snowboardowej. - To, co wspólnie udało nam się zrobić, to imponujący sukces - mówi z dumą Bogusław Magrel, prezes Polskiego Klubu Alpejskiego i kierownik wyprawy.

Sześć dni po Januszu Adamskim i Tomku Kobielskim, którzy zdobyli Cho Oyu 24 września, na szczycie ośmiotysięcznika stanęła pozostała trójka: Bogusław Magrel, Bogusław Ogrodnik i Olaf Jarzemski.

- Z ekip, które tu spotkaliśmy jesteśmy chyba jedyną, która weszła na szczyt w komplecie - uśmiecha się Tomek Kobielski.

Fakt. Rozmawiałem w bazie z wieloma ekipami. Taka sztuka nie udała się żadnej z nich.

Na przeszkodzie stawały głównie choroby, które w pewnym momencie niemal zdziesiątkowały bazę. Swoje dołożyła góra, która nie dla wszystkich okazała się łaskawa.

Sukces naszej ekipy też nie przyszedł łatwo. Jedynym, którego ominęły kłopoty ze zdrowiem był Janusz Adamski. Tomek, który razem z nim zdobywał górę, tuż przed atakiem na szczyt wziął ostatnią dawkę antybiotyku. Bogusław Ogrodnik chciał wejść na szczyt razem z nimi, ale z drogi zawróciła go paskudna infekcja. Górę zdobył dopiero z Olafem i Bogusławem Magrelem, którzy najpierw długo walczyli z gorączką, by stoczyć potem walkę z niegroźną, na szczęście, odmianą ameby. Wreszcie, kiedy wszyscy już się wyleczyli popsuła się pogoda, która w górach jest równie ważna jak zdrowie.

- Trzeba przyznać, że szczęście nam w tej wyprawie sprzyjało, ale szczęście sprzyja lepszym - uśmiecha się Magrel.

Zdobycie góry kosztuje. Kilka dni po zejściu ze szczytu, kolana wciąż bołą, kaszel męczy, popękane wargi nie pozwalają spokojnie jeść. Mimo to spod góry wycofujemy się szybko - do Himalajów w szybkim tempie zbliża się zima. Z dnia na dzień śnieg pada częściej i dłużej, temperatura w nocy spada do -10 stopni. Dziś zwijamy namioty i ruszamy w powrotną drogę do Katmandu.

- Zrealizowaliśmy tu kawałek naszych marzeń - przyznaje Magrel. - Teraz kolej na następne.

Darek Koźlenko, Fakt